

Wilhelmina to nie Berta

Wilhelmina z bolesną precyzją wspominała wydarzenia z 1945 roku. Łańcuszek z małą Madonną Wilhelm zawiesił na szyi Bercie, nie jej. Choć to Berta, a nie ona, Wilhelmina, nie była już dziewicą, na co wyraźnie wskazywał brzuch Berty. Mimo wszystkich łączących je więzów przyjaźni: może i Berta pasowała do Rudolfa, lecz z całą pewnością nie do Wilhelma.

– Rudolf jest taki łagodny i delikatny. Ma dość melancholijną naturę. Potrzebuje silnej, zdecydowanej ręki, osoby twardo stąpającej po ziemi. To marzyciel, fantasta. Potrzebuje prowadzenia. Potrzebuje człowieka, który wie, czego chce. Berto, on po prostu do ciebie nie pasuje.

Czy Wilhelmina mówiła tak niegdyś do przyjaciółki, kiedy ta oznajmiła, jak bardzo podoba jej się Rudolf?

– Berto! Ty nieszczęśnico! Czy nie mogłaś sobie wybrać lepszego momentu na płodzenie dzieci?! Skąd możesz wiedzieć, czy Rudolf w ogóle wróci z frontu?! I to akurat on! Nie potrafi nawet zarznąć kury, a co dopiero wychować dzieci! Biedak, najpocziwsza dusza, jaką można sobie wyobrazić, nigdy nie był wielkim chojrakiem, teraz siedzi nie wiadomo gdzie na froncie, a tobie nie przyjdzie do głowy nic lepszego niż rodzenie dzieci! Berto! Toż to szaleństwo!

Czy Wilhelmina mówiła tak niegdyś do Berty, kiedy ta oznajmiła przyjaciółce, że ostatni urlop Rudolfa nie pozostał bez konsekwencji?

Jeśli nawet, to Wilhelmina zmieniła zdanie o sto osiemdziesiąt stopni w tamtej chwili, kiedy zamiast Rudolfa zjawił się obcy: nazywał się Wilhelm Kschyk i wręczył jej przyjaciółce stokrotkę wraz z listem. Jedno i drugie Berta wzięła z jego rąk niczym drogocenny diadem.

– No tak. No tak – odezwała się.

Nie powiedziała nawet „dziękuję”. Oto obcy przywędrował w tych niepewnych czasach z Frankfurtu nad Odrą do Modrego Dunaju, a jedyne, na co zdobyła się Berta, to: „No tak. No tak”.

Mimo całego bólu – tego było już za wiele! Wilhelm, biedak, nie wiedział nawet, czy powinien coś jeszcze powiedzieć. A co zrobiła Berta Faust? Po prostu zapomniała o Wilhelmie. Usiadła przy stole i wodziła dłonią po obrusie, jakby musiała go wygładzić.

– No tak. No tak – znów powiedziała.

Ani razu nie podniosła wzroku. Cała Berta Faust. Zawsze myślami gdzie indziej, nigdy tu i teraz.

Berta miała szczęście w nieszczęściu, że była przy tym obecna ona, Wilhelmina. To ona, Wilhelmina, a nie Berta (!), poczęstowała Wilhelma wódką, słoniną i chlebem, skarbami, które na czarnym rynku albo od chłopów udało się kupić po części ojcu Berty, po części jej, Wilhelminie, a nie Bercie (!). Przy jedzeniu Wilhelmina zostawiła najwyraźniej wygłodniałego mężczyznę w spokoju i dopiero gdy Wilhelm zaczął powściągliwiej sięgać po chleb i słoninę, zadała mu pytania, które właściwie powinna była postawić mu Berta.

– Dobrze. Rudolf poległ. Podobno wielu spotkał taki los. Chciałabym się jednak dowiedzieć, jak zginął. Czy nastąpiło to szybko? A może trwało długo?

Biedak był oczywiście tak onieśmielony i tak wytrącony z równowagi bynajmniej niezachęcającym milczeniem Berty, że nie chciał o tym rozmawiać, a przecież raz trzeba o tych sprawach powiedzieć, żeby w końcu mieć je z głowy.

Nie, Berta ani trochę nie przejmowała się człowiekiem, który powrócił z frontu. Nawet nad nieszczęściem Berty musiała uznać się ona, Wilhelmina!

– Biedula! Byli dla siebie stworzeni! A teraz to. Dziecko w drodze, a w domu ani jednego mężczyzny. Co za głupota! Cóż może począć ciężarna ze starym grabarzem, do tego własnym ojcem? A przecież w rodzinie Faustów było czterech

chłopów na schwał, jeśli liczyć Rudolfa, zięcia! Toż to można oszaleć! Berto, powiedz coś wreszcie!

– No tak. No tak – powiedziała Berta i zachichotała.

– A z czego tu się śmiać? Co w tym takiego zabawnego? – Oburzona Wilhelmina ofuknęła Bertę, a potem zwróciła się wyłącznie do Wilhelma: – Karl i tak był najporządniejszy spośród trójki chłopaków od Faustów. Bądź co bądź odezwał się jeszcze w marcu czterdziestego piątego. Wiedzieliśmy przynajmniej, że przebywa w lazarecie pomocniczym w Castel Franco, to gdzieś pod Modeną. Lecz Richard, jego brat bliźniak, najwyraźniej ociągał się z pisaniami. Nie wysłał ani jednego listu od marca czterdziestego czwartego. A przecież Górny Śląsk nie jest znowu tak daleko, mógł się wystarać przynajmniej o kilka dni urlopu! Wastl też zapomniał, że w Modrym Dunaju matka i siostra czekają na jakiś znak życia. Wastl w Grajewie, Karl gdzieś pod Modeną, a Richard na Śląsku. Niech pan powie, co to za informacje? Mogli przynajmniej przekazać przez kogoś list dla rodziny, na wypadek gdyby oberwali. Przecież musieli się z tym liczyć? Berto, powiedz no coś!

Berta milczała.

– Nie. Tak dalek być nie może! Coś musi się wydarzyć! A co z panem? Chyba zostanie pan w Modrym Dunaju? Teraz wszystkie miasta są do siebie mniej lub bardziej podobne. Stosy ruin wszędzie wyglądają tak samo. Dzisiaj w każdym miejscu trzeba zaczynać od nowa. Chłopcy Faustów spali tu obok. Trzy puste łóżka, dwie bieliźniarki, stół oraz trzy krzesła, tyle chyba panu wystarczy?

Wilhelmina spojrzała wyczekująco na Wilhelma.

Został. Lecz najważniejszy pierścionek, który należał jej się właściwie od pierwszego dnia, założyła dopiero trzynastego stycznia 1960 roku. Tak czy owak. Nosiła go.

Łańcuszek z małą Madonną nadal jednak znajdował się w posiadaniu Berty.

Wilhelm nie przypuszczał, że łańcuszek z małą Madonną wzbudza w Wilhelminie tak wielką żądzę działania. Zdążył już zapomnieć o łańcuszku z małym wizerunkiem Madonny.

Wilhelmina wåtpliwoŒci i roztrząsania stawiała na równi z alkoholizmem czy uzaleŒnieniem od nikotyny i narkotyków, na co Wilhelm przystawał z pewnym „ale”, „za” i „przeciw”. Przez te wszystkie lata Wilhelmina przywykła, Œe w dyspucie małŒeńskiej z sukcesem przeforsowuje swoje opinie, a Wilhelm uzupełnia je jedynie o pewne „ale”, „za” i „przeciw”. Wraz z tym nawykiem rosło poczucie dyskomfortu, które odczuwała niewyraŒnie i streszczała w okrzyku:

– Wilhelmie, coŒ się musi wydarzyó!

W domu wszystko było zorganizowane jak w zegarku; praca sprzątaczkii w pomieszczeniach biurowych doktora Ulricha Reichmanna i filii biura Mueller-Rickenberga w mieŒcie Modry Dunaj spełniała swój cel ekonomiczny, a do czasu zaspokajała takŒe chęó działania Wilhelminy. Resztę energii kobieta zuŒytkowywała w drobiazgowych dysputach małŒeńskich. Na dłuŒszą metę nie dało się tego ignorować. Zapál Wilhelminy domagał się nowego, poszerzającego horyzonty pola działania. W końcu więc, po dłuŒoletnich roztrząsaniach, postanowiła nieodwołalnie zająó się sprawą Berty. Kiedy szybkimi, zręcznymi ruchami rąk przygotowywała śniadanie, zaczęła dojrzywać w niej myśl: „Dzisiaj naleŒy raz na zawsze załatwió sprawę Berty”.

Wilhelm dzielnie żywił nadzieję, Œe uda się uniknąó owego ciosu. Zresztą uczciwie o to walczył – przez trzy lata, bądź co bądź, z sukcesem. Lecz Wilhelm robił się starszy, a z wiekiem, chcąc nie chcąc, musiał wyciągnąć wnioski z dobrze znanego sobie faktu: „Wilhelmina to nie Berta”.

– Nie ruszajmy tych spraw! JuŒ się wydarzyły! Co się stało, to się nie odstanie.

W minionych trzech latach słowa te aż nadto często padały jako przedostatni przyczynek w małŒeńskich dyskusjach. Jego ostatni. MałŒonka, rezolutna Wilhelmina, zawsze czuła się w obowiązku dołóżyć do ich dysputy ostatnią cegiełkę, a to dlatego, Œe na wszystko miała niezawodną odpowiedź, która podwagała słowa jej rozmówcy, Wilhelma. Ten zaś, przekonany, Œe

każda wymiana zdań wymaga zwycięzcy i przegranego, ograniczył się do roli tego ostatniego, co w żaden sposób nie wzbudzało w nim niepokoju. O wiele bardziej martwiło go narastające przekonanie, że jego Wilhelmina mogłaby nie tylko wygłaszać swoje rezolutne opinie i poglądy, lecz także ewentualnie chcieć wcielić je w życie.

– Pobraliśmy się trzynastego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

Tymi słowami, trzynastego stycznia 1963 roku, Wilhelmina, skłonna za wszelką cenę znaleźć nowe pole działania, rozpoczęła rozmowę przy śniadaniu. Z ponurym zdecydowaniem rozbijała łyżeczką skorupkę na czubku jajka.

– Trzynastego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego Berta miała urodziny – odparł Wilhelm, starając się sprawić szczególnie obojętne i łagodne wrażenie, przede wszystkim zaś emanować spokojną prostotą, gdy tymczasem mgliste przecucia na podobieństwo zjaw snuły się po zakamarkach jego umysłu, co (a to z kolei dało do myślenia Wilhelminie) uwi-doczniło się w jego uśmiechu.

Wilhelm, uśmiechacz

Uśmiechem Wilhelm w niezwykle sposób potrafił zjednywać sobie ludzi. Znajdowało to swoje odzwierciedlenie w sutych napiwkach, które przesympatycznie uzupełniały jego pensję szofera i chłopca na posyłki u Johannaesa Mueller-Rickenberga, w budżecie państwa Kschyków zaś były zapisywane jako stałe dodatki. Owe dodatki w niezwykle sposób wspierały talent Wilhelma do uśmiechu. Wilhelm, uśmiechacz, wiedział, że w uśmiechaniu się najważniejsze jest odpowiednie połączenie składników, podobnie jak w gotowaniu liczą się odpowiednie przyprawy. Dla Wilhelma, szofera i chłopca na posyłki, istotne było przede wszystkim właściwe oszacowanie przewożonego ładunku.

Swoim uśmiechem Wilhelm oznajmiał Johannesowi Mueller-Rickenbergowi, że jest skromny i trochę tępy, ale także dyskretny, a jako szofer i chłopiec na posyłki – bystry, obrotny i niezawodny. Ponadto chlebodawca Johannes wiedział, że jego Wilhelm widzi wszystko i nic, słyszy wszystko i nic, rozumie wszystko i niczego nie pojmuje. Krótko mówiąc, Wilhelm był przykładnym szoferem i idealnym chłopcem na posyłki. A o to, żeby taki obraz utrwalił się w świadomości pracodawcy, Wilhelm dbał za pomocą swojego uśmiechu. Wiedział dobrze, kiedy przemycić do receptury kolejną szczyptę uległości, a tępotę rozcieńczyć odrobiną sprytu, wiedział, kiedy, gdzie i w jakiej sytuacji uśmiech ma sygnalizować jego nieobecność albo obecność, uśmiechem potrafił utwierdzić tę czy inną przewożoną osobę w tym, co sama od zawsze wiedziała. Uśmiechał się więc jak sceptyk, myśliciel i mędrzec, jak głupiec i spryciarz, jak jasnowidz i oferma, jak gorliwy, najuniżeńszy sługa i jak przekorny, bez wątpienia zdolny do krytycznego myślenia umysł, i nigdy nie czynił tego w sposób prostacki i jednoznaczny, zawsze tylko do pewnego stopnia, stale w gotowości, żeby

ten czy ów niuans w swoim uśmiechu stłumić, uwypuklić czy nawet zatrzeć. Ta jego już i tak znacząca zdolność do zniuansowanego uśmiechu była niezwykle wspierana nie tylko dzięki stałym dodatkom. Również usposobienie skłaniające się ku pewnym „ale”, „należy przemyśleć”, „biorąc pod uwagę okoliczności”, „za, jeśli się zastanowić”, „przeciw, jeśli uwzględnić” wzbogacało różnorodność Wilhelmowego uśmiechu. Wierzył we wszystko i w nic, wątpił we wszystko i w nic, urodzony marzyciel, który nie marzy. Innymi słowy, był godnym reprezentantem swojego narodu.